



Jutro: Mankell



W czwartek: Läckberg



W piątek: Persson



W sobotę: Fossum

Czytaj i oglądaj
serial w sieci
wyborcza.pl/kryminal

My z IV Międzynarodówki

obiecuję zamknięcie się z komputerem „na całą dobę” - chodzi o szybkie zrobienie poprawek do „Zamku...”.

- Zachowywał się jak pracocholik, chociaż nie był nim - opowie Eva Gabrielsson. - Po prostu czuł, że wreszcie robi coś wielkiego i każda chwila jest ważna.

Bohater, który umarł wcześniej

9 listopada 2004 r. około godz. 14. Larsson wchodzi do korytarza budynku przy ul. Kunstholen, gdzie na siódmym piętrze mieści się teraz „Expo”. Chce jechać windą, ale ta jest zepsuta, rusza więc pieszo. Wchodzi zmęczony, rzuca wszystkim: „Hej!” i od razu zabiera się do pracy. Po chwili pada na podłogę. Współpracownicy wzywają karetkę. Gdy lekarze wbiegają do redakcji, Stieg jeszcze żyje. Zawał jest jednak rozległy. Larsson umiera w drodze do szpitala św. Gorana. Ma 50 lat.

Zabrakło mu czterech miesięcy, by doczekać momentu, w którym jego pierwsza powieść zaczyna karierę.

Spór o spadek zaczyna się niewinnie. Wypływa testament, w którym Stieg zapisuje spuściznę oddziałowi Komunistycznej Ligi Robotniczej w Umea. Zgodnie ze szwedzkim prawem dokument jest nieważny, bo niepoświadczony przez świadka, a poza tym Liga tych pieniędzy nie chce (dlaczego - o tym w tekście obok). Na placu boju o prawa autorskie pozostają: ojciec, brat i Eva Gabrielsson.

Eva i Stieg nigdy nie wzięli ślubu. Beneficjentami tej sytuacji są zatem brat i ojciec - dzielnicy prawa autorskie, czyli dochody z książek, które w 2008 r. przekraczają już 10 mln euro.

Eva decyduje się na proces. Ma laptop Larssona z nieukończoną kolejną częścią „Millennium”, a to jest coś, co najmocniej działa na wyobraźnię fanów Larssona. Angielski biograf pisarza określa „czwórkę” mianem „świętego Graala wielbicieli Stiega”.

Szwedzcy dziennikarze, powołując się na słowa Joakima Larssona (Eva w tej sprawie milczy), twierdzą, że plik ma 200-300 stron. Joakim miał się o nim dowiedzieć od brata mailem.

Kurdo Baksi w niedawno opublikowanym wywiadzie twierdzi, że istnieje może zaczątek tomu piątego: - Stieg nie był zachwycony rezultatem swej pracy nad czwartą częścią cyklu, dlatego porzucił ją i zabrał się do kolejnej.

Proces, który się nie kończy

Eva - której ojciec i brat Stiega zaproponowali początkowo jedynie połowę mieszkania, jakie zajmowała z ukończonym - domaga się prawdziwych pieniędzy. Większość szwedzkich gazet kibicuje jej w tym, uznając, że pani architekt mocno przyczyniła się do powstania trylogii, zaś ojciec i brat - wcale. Dziennikarz Anders Hellberg zasugerował nawet, że to ona mogła być autorką. Larsson był moim książkowym, dobrym analitykiem i biurokrata, ale fatalnym dziennikarzem, którego „język był kiepski, a składnia - nieoprawna”.

Eva w oficjalnym oświadczeniu zaprzecza: - Robiłam jedynie korektę i dyskutowałam ze Stiegiem o poszczególne wątki.

Spadek rośnie tymczasem wraz z każdym nowym wydaniem trylogii (aktualnie ok. 45 mln egzemplarzy) i każdą ekranizacją. Po sukcesie szwedzkiego filmu „Millennium” z Noomi Rapace i Michaeliem Nyqvistem świat czeka na amerykański remake (Blomkvista gra Daniel Craig, zdjęcia trwają). Magazyn „Forbes” właśnie umieścił Larssona na szóstym miejscu najlepiej zarabiających, nieżyjących twórców. Przed nim tylko Michael Jackson, Elvis Presley, Charles Schulz (komiks „Fistaszki”) i J.R.R. Tolkien („Władca Pierścieni”). Za Szwedem m.in. Albert Einstein, Jimi Hendrix i Marilyn Monroe. ●

WOJCIECH ORLIŃSKI: Chciałbym, żeby mógł mi pan zrozumieć polityczne środowisko, w którym funkcjonował Stieg Larsson.

PROF. HAKAN BLOMQVIST: Nie chciałbym mówić o Stiegu jako o człowieku, bo znalazłem go głównie jako towarzysza. Oczywiście, miałem z nim osobisty kontakt, dosłownie dzień przed śmiercią przysłał mi maila, że bym odwiedził go w redakcji „Expo”. Chodziło o problem, bardzo bolesny dla nas obu, że pravicowi antysemita infiltrują ruch solidarności z Palestyną, żeby zamiast hasel dotyczących kwestii praw człowieka dominowały hasła dotyczące nienawiści do Żydów.

W Polsce znamy ten problem.

- Mogę sobie wyobrazić! Mam sentyment do Polski. Pierwsza demonstracja, na której mnie spalowano i zamknięto w areszcie, to demonstracja solidarności z polskimi robotnikami w grudniu 1970.

Spalowany? W Szwecji? Burzy pan moje wyobrażenia...

- No cóż, nie mieliśmy zezwolenia. Byłem studentem. Gdy dotarły do nas wiadomości o tym, co się dzieje w Gdańsku i w Gdyni - wojsko strzelające do strajkujących robotników! - ruszyliśmy na spontaniczną manifestację pod ambasadę polską w Sztokholmie. To był wieczór 20 grudnia 1970. Jednocześnie wietnamskie święto, więc policja przez cały dzień uganiała się za demonstrantami protestującymi przeciwko wojnie w Wietnamie. Myślę, że dlatego właśnie żyli się na nas.

Było nas 40-50 studentów, a policjantów co najmniej trzystu. Łatwiej było pobić nas niż liczniejszych demonstrantów antywojennych. Mieliśmy transparenty z hasłami typu: „Niech żyje polska klasa robotnicza” i „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się”. Mieliśmy też pochodnie. Policja potem twierdziła, że musiała ochronić polską ambasadę przed chuliganami chcącymi ją podpalić. Czy ja wyglądam na kogoś, kto chciałby cokolwiek podpalić?

Takie incydenty tworzą rewolucjonistów - kiedy uczestniczysz w pokojowej demonstracji, a policjanci nie wiedzieć czemu wrzucają cię do samochoodu, biją do nieprzytomności, a następnego dnia w gazetach czytasz o sobie ewidentne kłamstwa.

Nawet prasa liberalna czy lewicowa tak o was pisała?

- Pan pracuje w gazecie, czy ja to muszę panu tłumaczyć? Gazeta poważnie wierzy w oficjalną wersję przedstawioną przez policję. Literalnie nikt się wtedy za nami nie ujął. To było tak naprawdę pokoleniowe wyzwanie. Dlatego właśnie Polska zawsze miała dla nas szczególne znaczenie. Popieraliśmy KOR, pomagaliśmy Żydom wygnanym z Polski po 1968, popieraliśmy „Solidarność”. W stanie wojennym nasi towarzysze przewozili materiały drukarskie przez Bałtyk turystycznymi jachtami... Nie chcę tutaj twierdzić, że szwedzka lewica obaliła komunizm, chcę tylko panu pokazać, jak ważna dla nas była Polska.

Zaklinam więc na pańską sympatię dla Polski: proszę przystępnie wyjaśnić, jaki właściwie program ma rewolucyjna partia w kraju, w którym na moje oko już od dawna panuje socjalizm?

- Wywodzimy się z tradycji Ernesta Mandela, historycznego przywódcy IV Międzynarodówki, który uważał państwa bloku radzieckiego za zdegenerowane państwa robotnicze. Po-

tepialiśmy ich ustrój, ale uważaliśmy, że należy go naprawić, a nie zastępować kapitalizmem. Byliśmy więc gotowi bronić tych państw przed imperialistami, ale popieraliśmy działającą w nich opozycję.

Przecież to nie było państwo robotnicze, tylko nomenklaturowe!

- Rzeczywiście ta kwestia była przedmiotem wielu rozłamów w ruchu trockistowskim. Ale - już nie jako trockista, tylko jako akademicki historyk - zapewniam pana, że nie ma konsensusu wśród historyków na temat tego, czym właściwie był komunizm. Jeśli pan chce, mogę panu przeprowadzić seminarium, ale chyba nie po to pan tu przyjechał?

Chciałem po prostu zrozumieć, w jakiej partii działał Larsson.

- Cóż, na dzisiejszej szwedzkiej lewicy, jesteśmy nazywani „grasoser”, czyli „siwowłosi socjaliści”. Problemy, którymi się zajmujemy, uważane są za przestarzałe. Gdyby Stieg Larsson dożył naszych czasów, też by go tak nazywano.

Ale przecież jego książki są bestsellerami! Nagle okazało się, że ideały feministyczne czy antyfaszystowskie wcale nie są przestarzałe!

- Nie umiem tego skomentować. Proszę mi wybaczyć, ja po prostu nie lubię kryminalów. Kiedy wyszła pierwsza książka Stiega, naprawdę chciałem ją przeczytać, ale zasnąłem po 30 stronach. To trochę paradoks, że członkowie naszej partii są chyba ostatnimi Szwedami, którzy jeszcze nie przeczytali powieści towarzysza Severina. **Slucham?**

- Stieg używał takiego pseudonimu, na cześć swojego dziadka.

Larsson zapisał wam swój majątek.

- Och, to jest tragiczna historia. W rezultacie przecież majątek trafił do jego ojca i brata, których w ogóle nie znał! On i Eva Gabrielsson tworzyli razem przepiękną parę. Wszystko robili razem. Nigdy nie zapomnę tego, jak się z nimi rozmawiało - siedzieli przytuleni na sofie, razem, jak jedna dwugłowa istota. Gdy się zadawało pytanie, jedna głowa zaczynała odpowiadać, druga kończyła. To był dla nas wszystkich szok, że Eva Gabrielsson zostaje pominięta w dziedziczeniu, bo dla szwedzkiego państwa ich miłość nie ma znaczenia.

Jak to się właściwie stało, że nie wykonano spisanego testamentu?

- Testament pochodził z końca lat 70. Stieg jechał wtedy na wyprawę do Erytrei. Zapisał cały swój majątek nerytrei, wtedy nazywaliśmy się Komunistyczną Ligą Robotniczą. Ale wtedy majątek to była szczoteczka do zębów i parę książek. On przecież jeszcze nie wiedział, że napisze bestsellerową powieść. Po śmierci Larssona na zebraniu kierownictwa partii ustaliliśmy, że nie możemy skorzystać z tego testamentu, to byłoby nie fair. Zwolaliśmy konferencję w Umea, gdzie ogłosiliśmy, że nie chcemy tych pieniędzy.

Ja chyba właśnie dlatego nie mogłbym być rewolucjonistą: nie wyobrażam sobie siebie ogłaszającego: „Nie chcę waszych milionów, bo to nie fair”...

- Prawdę mówiąc, wtedy nie do końca rozumieliśmy, o jakie sumy chodzi. (śmiech) Ale dla naszej partii zawsze ważniejsze było to, żeby postępować słusznie, niż żeby postępować skutecznie. Ponadto byliśmy przekonani, że rezygnujemy z testamentu, by ułatwić Ewie otrzymanie spadku, który jej się po prostu należał. Mamy w Szwecji prawo uznające instytucję konkubinatu. Myśleliśmy, że to prawo wystarczy, żeby Eva mogła wygrać



Prof. Hakan Blomqvist

- historyk ruchu związkowego z uniwersytetu Södertörn, wieloletni działacz Partii Socjalistycznej (przed 1982 nazywała się Komunistyczna Liga Robotnicza), partyjny towarzysz Stiega Larssona

w sądzie. To był dla nas prawdziwy szok, gdy się dowiedzieliśmy, że Eva nie dostanie ani grosza. Nie wiedzieliśmy, że mieszkamy w tak reakcyjnym kraju! Jedyna korzyść z tego jest taka, że zaczęliśmy wielką debatę w społeczeństwie na temat konieczności zmiany prawa w tej materii.

Czy to prawda, że nie mogli się pobrać, bo wtedy ich domowy adres byłby publicznie ujawniony?

- Nie sądzę. W szwedzkich kręgach lewicowych po prostu ludzie nie biorą ślubu. Małżeństwo uważane jest za burżuazyjny przybytek. Ja ze swoją żoną najpierw wzięliśmy „socjalistyczny ślub”: zamiast prezentów wszyscy goście byli proszeni o wpłaty, które poszły na sędziów w Nikaragui. Ceremonii nie prowadził ksiądz ani państwowy urzędnik, tylko nasi partyjni towarzysze. Potem jednak wzięliśmy oficjalny ślub, na który nasi przyjaciele krzywo patrzyli. U nas niesmak budzi sama taka myśl, że miłość musi być zalegalizowana przed Bogiem czy urzędem.

To muszę wrócić do poprzedniego pytania: jak pan ocenia szwedzki ustrój?

- Powiedział pan, że już mamy socjalizm i mi też jest bliski taki pogląd, że ze wszystkich prób zbudowania socjalizmu przez klasę robotniczą podejmowanych gdziekolwiek na świecie w Szwecji udało się to najlepiej.

W takim razie po co rewolucjonisci?

- Zdaje sobie sprawę z tego, że to paradoks: nasza rewolucyjność polega na obronie status quo. Ale socjaldemokracja porzuciła państwo opiekuńcze 20 lat temu i jest tak samo zdeterminowana, by je rozmontować, jak centroprawica. Z drugiej strony nie wiem, jakie dokładnie elementy szwedzkiego społeczeństwa kojarzy pan z socjalizmem, z mojego punktu widzenia te najatrakcyjniejsze są stosunkowo młode.

Dopiero pod naciskiem mojego pokolenia, w latach 70. wprowadzono rewolucyjne zmiany. Przedtem państwo opiekuńcze nie było zorientowane na pomoc ludziom, tylko na realizację procedur. Potrafiło je realizować w sposób szokująco okrutny i nieczuły, stąd póź-

niejsze skandale ze sterylizacją czy z traktowaniem osób chorych psychicznie.

W Szwecji od 1965 roku do połowy lat 70. realizowano tzw. program miliona mieszkań. Rząd uznał, że za dużo ludzi mieszka na wsi, a za mało w mieście - więc wybudowano gigantyczne podmiejskie osiedla i przesiedlono ludzi...

Chyba nie przymusowo?

- Szwedzkie państwo osiągnęło mistrzostwo w tworzeniu sytuacji, w których coś niby jest dobrowolne, ale tak naprawdę nie ma innego wyjścia. Mamy takie powiedzonko: NRD to było takie same państwo jak Szwecja, tylko mieli tam więcej luzu. Miliony ludzi przesiedlono tak naprawdę dla dobra szwedzkiego wielkiego kapitału. Ci przesiedleni do miasta musieli zacząć pracować w fabryce i kupić meble z Ikea. Kapitał dostał tanią siłę roboczą i rynek zbytu jednocześnie.

Właśnie: jak to jest z tym wielkim kapitałem w socjalistycznej Szwecji? Stieg Larsson w swojej książce opisuje fikcyjną rodzinę szwedzkich magnatów przemysłowych o nazistowskich powiązaniach. Na ile realistycznie brzmi dla pana taki pomysł?

- Absolutnie realistycznie. Przecież wiadomo dziś na przykład o nazistowskich powiązaniach rodziny Wallenbergów. Raul Wallenberg to oczywiście antynazistowski bohater, ale mógł tak swobodnie się poruszać po okupowanej Europie właśnie dlatego, że jego rodzina robiła z nazistami interesy na wielką skalę.

Czy Larsson kiedykolwiek formalnie wystąpił z waszej partii?

- Nie, ale nie jesteśmy aż tak biurokratyzowani, żeby przywiązywać wielką wagę do zapisywania i wypisywania. Po upadku komunizmu problemy, którymi się zajmujemy, trochę zeszyły na dalszy plan. Tak ważne dla trockizmu pytanie, czy ustrój krajów bloku wschodniego należy raczej naprawiać, czy raczej obalić, stało się pytaniem historycznym. Naturalne było więc to, że wszyscy towarzysze, którzy mieli jakąś inną działalność, w ruchu związkowym, feministycznym albo w kulturze, większość energii kierowali w tamtą stronę. Tak było ze Stiegiem, po prostu pochłonęła go działalność antyfaszystowska. Ale nigdy nie zerwał z nami relacji ani nie zmienił poglądów. Utrzymywaliśmy stały kontakt dosłownie do samego końca, wymienialiśmy kilka maili w tygodniu.

Rozumiem, że wasza partia chce być raczej słuszną niż skuteczną, ale nie rozumiem tego, że nie próbujecie wykorzystać popularności Larssona do popularyzowania swoich idei. On by chyba nie miał nic przeciwko...

- Coś jest w tym powiedzonko o siwowłosych socjalistach. Często mam wrażenie, że się zatrzymaliśmy na rozpamiętywaniu tego, co było 30-40 lat temu. Bardzo długo nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jaki sukces odniósł nasz przyjaciel. Dopiero teraz postanowiliśmy wydać książkę zawierającą zbiór publikacji Stiega do naszego pisma „Internationalen”. Przedtem nie docenialiśmy popularności Larssona. Jaka jest jej skala, do mnie dotarło dopiero niedawno, kiedy koło mojego domu pojawiła się amerykańska ekipa kręcąca hollywoodzką adaptację „Millennium”.

Że powstał szwedzki film - to mnie tak bardzo nie zdziwiło. Ale jak zobaczyłem amerykańskich aktorów udających Szwedów, mówiących po angielsku z fałszywym szwedzkim akcentem, pomyślałem sobie: Stiegowi naprawdę się udało. ●